

Kazimierz Bartoszyński

Esprit d'escalier czyli rzecz o prywatnej metodologii

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4 (16), 107-128

1992

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Autobiografia

Kazimierz Bartoszyński

Esprit d'escalier czyli rzecz o prywatnej metodologii

Gdy w późnym już okresie swej drogi naukowej podejmuję próbę scharakteryzowania czegoś, co nazwać by można prywatną metodologią, trudno mi jest ująć tę sprawę w synchronicznym przekroju, a także oddzielić ją ściśle od pozanaukowych zdarzeń mego życia. Niełatwo mi także zachować zawsze wobec mych poczynań naukowych postawę serio i powstrzymać się od spoglądania na nie czasem z krytycznym lub ironicznym przymrużeniem oka. Chociaż zatem ani nie potrafiłbym, ani bym nawet nie chciał posługiwać się w mej relacji stylistyką swobodnej gawędy, zacznę od aktualnej w mej sytuacji anegdoty, jaką skontaminowałem, wiążąc zasłyszany kiedyś dowcip z motywem jednego z wczesnych opowiadań Prusa. Treścią tej anegdoty jest zachowanie emerytowanego profesora filologii klasycznej (oczywiście — mimo Prusowskiej proveniencji — najlepiej galicyjskiego), który tymi oto słowy zagadnął napotkanego kolegę po fachu: „Znalazłem właśnie na strychu paczki starych wypracowań uczniowskich z greki. Mamy więc świetną lekturę na najbliższe wieczory. Nie ma pan pojęcia, jakie wspaniałe błędy będziemy mogli raz jeszcze skorygować: *antropos* z *accentus circumflexus* nad omegą (horror!) lub *Athena ze spiritus asper* przed początkową alfą (skandal!)”. Morał z tej historyjki byłby m. in.

chyba taki, iż w pewnych momentach życia wykonywane kiedyś czynności nabierają radykalnie odmiennego zabarwienia emocjonalnego. Zwłaszcza gdy obszary, w których się mieściły, znikają z naszego pola widzenia, gdy czynności nasze tracą charakter funkcji obowiązkowych.

Co do mnie, to nie uskarżam się bynajmniej na bezczynność i potrzebę szukania od niej ucieczki — jak owi nauczyciele z anegdoty. Znajduję się natomiast obecnie w sytuacji dającej mi możliwość zapomnienia o mych dawnych emocjach i psychicznych napięciach, zatem i mówienia o sobie (a czasem i o innych) *sine ira et studio*. A więc sposobem spokojnym, nie unikając wszakże tonów ironii i ekskursów humorystycznych lub parodystycznych. Szkoda tylko, że to, co kiedyś nas bawiło, traci często po latach, poza konsytuacją, swą barwę lub staje się — bez obszernego komentarza — uchwytnie jedynie dla wąskiego grona świadków minionych zdarzeń. A więc nie może być na ogół przedmiotem pisemnej relacji. Próbując nakreślić swą autobiografię naukową czy naszkicować swą prywatną metodologię, nie chcę i nie mogę pominąć nasuwającego mi się pytania o celowość i potrzebę takiej operacji. Czy jakoś naukowych dokonań, o których przecież wypadnie wzmiankować, upoważnia mnie do tego? Sądzę, że w moim przypadku nie jest to pytanie istotne, niezależnie bowiem od wagi mego dorobku, którym bynajmniej nie pragnę się szczycić, zasadniczy jest tu oczywisty biograficzny fakt. Ten mianowicie, iż w moim życiorysie naukowym — z tytułu choćby dat go określających i miejsc mej pracy — specyficznie wyraziste odbicie znalazły różnorodne przemiany. Nie tyle polityczne, choć i tych nie zabrakło — ile dotyczące idei naukowych. Zjawisko oddziaływania na naukowców systemów myślowych różnorodnych i zmieniających się jest oczywiście powszechne. W moim wszakże przypadku kontakty z głównymi w Polsce ośrodkami myśli fenomenologicznej, a później strukturalizmu, były bezpośrednie, zaś wpływ hermeneutyki, a w czasach ostatnich także idei poststrukturalistycznych — znaczny. Nie liczę wpływu przemian, przez jakie przechodziła metodologia nauk ścisłych. Nie mając zaś tendencji ani do nietolerancji, ani do doktrynerstwa, zacerpnałem sporo z tych różnorodnych formacji myślowych. Pozostając jednak w zależności od rozmaitych kierunków, znajdowałem się często na intelektualnych rozdrożach i zmuszony byłem stawiać sobie istotne nieraz pytania. Sytuacji tej nie należy oczywiście dramatyzować. Jeśli jednak warto zainteresować się moim życiorysem naukowym, to raczej nie z tytułu jego pokoleniowej typowości, ani tym bardziej ze

względu na moje konkretne osiągnięcia, lecz właśnie z uwagi na mnogość ważnych pytań, wobec których tak często stawałem.

Słowo „pytanie” pada tutaj również dlatego, że to, co mogę przedstawić, nie jest przede wszystkim obrazem — mówiąc górnolotnie — przemian teorii czy paradygmatów, ale raczej szkicem ujmującym ewolucję naukową od strony osobistych zagadnień czy kłopotów, od strony zatem jej pozanaukowego tła. Charakter polityczny nosiło to tło w takim tylko stopniu, w jakim trudno mi było uchylić się od oficjalnych nacisków. Mam tu na myśli przy tym jedynie tzw. okres stalinizmu. Mimo bowiem mej przynależności do PZPR unikałem powiązań swych poczynań naukowych z uwarunkowaniami politycznymi. Presja, jaką kiedyś usiłowano wywierać na mnie w tym zakresie, zniechęciła mnie zresztą na stałe do ulegania uzależnieniom tego rodzaju, nawet wtedy, jak to jest obecnie, gdy mają one zupełnie inny charakter. Będąc dalekim od mniemania, jakoby możliwa była zupełna apolityczność nauki, skłonny jestem sądzić, że czynnościom naukowym sprawy polityki sprzyjać mogą jedynie drogą obdarzania naukowców spokojem i środkami finansowymi. Być może jest to staroświecki klerkizm, lecz trudno mi się wyprzec takiej zasady.

Warto tu wspomnieć może o okoliczności, dla której wypowiedanie się naukowca na temat jego prywatnej metodologii nie jest czynnością niezależną od pewnych istotnych uwarunkowań. Nie może jej bowiem, ściśle biorąc, podejmować zwolennik przeświadczenia, iż jego praca naukowa polega na uczestniczeniu w procesie, w którym podstawową rolę odgrywa ponadindywidualny „kontekst uzasadniania”, że raz wstąpiwszy w ten proces utracił swą zmieniającą się podmiotowość. Wypowiedanie się zatem na temat metodologii prywatnej wyłącza w dużym stopniu mówiącego z kręgu badaczy o pozapodmiotowym obliczu, które zwykle kojarzy się z ortodoksyjnym scjentyzmem. Trudno natomiast powiedzieć, do jakiego kręgu ów metodologiczny autobiograf ma być przez swą wypowiedź zaliczony. Najłatwiej byłoby może rzec: do hermeneutów. Byłoby to jednak określenie zbyt radykalne i ignorujące różnorodność stylów myślenia pośrednich między biegunami skrajnymi.

Innym kłopotem autobiografa naukowego jest konflikt pomiędzy intencją pokazania siebie w postaci takiej, jaką osiągał w różnych fazach swej działalności, a chęcią użycia postgnozy, tj. postawy pozwalającej na ujrzenie całej biografii w sposób relatywny, perspektywiczny, pogłębiony. A możliwe to jest dopiero po osiągnięciu pewnego dystansu czasowego,

tj. na zasadzie *esprit d'escalier*. To metaforyczne wyrażenie nabiera zresztą sensu bardziej dosłownego dla tych wszystkich pracowników nauki, których z jakichś względów dotyka konieczność opuszczenia „schodów” swych macierzystych uczelni czy instytutów.

Te sformułowania wstępne zakreslają najogólniej pole, w jakim mieścić się będą uwagi o mojej naukowej prywatności. Dotyczyć będą one zresztą nie tylko tego, co opublikowałem — a nie było to zbyt wiele — lecz również tego — co naszkicowałem czy wygłosiłem, a także tego, co stanowiło oczywiste przesłanki treści sformułowanych.

Początki mych studiów uniwersyteckich upłynęły — co zresztą nierzadko się zdarza — pod znakiem wahań co do ich przedmiotu. Także zresztą i później, pracując w dziedzinie filologii, wielokrotnie odczuwałem niedostatek czy ograniczoność swej wrażliwości estetycznej i zdawałem sobie sprawę ze swej skłonności do operowania słowem w sposób odmienny i na pewno mniej efektowny niż to czynią zazwyczaj reprezentanci tej dyscypliny. Doznaniem takim towarzyszyły przyływy sympatii do nauk ścisłych i — złudne zapewne — wrażenie, iż na ich terenie czułbym się lepiej i więcej bym osiągnął. Pomijając jednak tę sferę próżnych i niewczesnych refleksji, zacząć mi wypada od zapomnianego już trochę faktu, iż podstawowym moim studium miała być nie filologia, lecz filozofia, a jego kierownikiem stał się — niekoniecznie z wyboru, lecz w ramach konkretnej krakowskiej rzeczywistości roku 1945 — Roman Ingarden. To zawieszenie pomiędzy dwiema dyscyplinami miało określać moją drogę naukową już na stałe, z wyłączeniem okresu, w którym narzucona dominacja marksizmu blokowała niejako zainteresowania filozoficzne i sprzyjała koncentracji na filologii. Dwoistość taka zaowocowała w moim przypadku nastawieniem na teorię literatury, a u pewnych osób prowadziła wręcz do ucieczki od polonistyki.

W mych studiach prowadzonych pod kierunkiem Ingardena wystąpiły z miejsca dwie formy niedostosowania się do stylu pracy wielkiego uczonego, formy przejawiające się w biograficznych realiach, ale wyrastające z istotnych — jak się potem okazało — przesłanek teoretycznych. Ingarden — fenomenolog — postulował studium filozofii jako dyscypliny niezależnej, „pierwszej”, nie wymagającej w zasadzie ani założeń, ani wspierających ją kompetencji w zakresie „nauk szczegółowych”. Przeciwnie, filozofowie o proweniencji pozytywistycznej widzieli w filozofii metanaukę, syntezę nauk, której adepci obligowani byli do dokładnego studiowania przynajmniej jednej z tych dyscyplin. Zajmując się tedy

zglębianiem tajników filologii, odchyłałem się raczej od wskazówek „mistrza”, w którego oczach zbyt szczegółowe studia konkretnych scjencji były może nie tyle pomocą, ile przeszkodą w osiągnięciu pożądanych intuicji poznawczych. Z drugiej strony ciekawość naukowa młodego studenta kierowała go raczej do poznania mnogości stylów i kierunków myślenia filozoficznego niż do koncentracji na jednej metodzie. A Ingarden właśnie — w nie kończących się analitycznych penetracjach — nauczał j e d n e j metody, kształcąc samo myślenie filozoficzne, rozwijane w atmosferze przekonania o wyłącznej słuszności owej metody na drodze do absolutnej „prawdy”. Nie przykładał zaś wagi ani do filozoficznej erudycji, ani do dostarczania słuchaczom szerokiej panoramy filozoficznych pytań i odpowiedzi. Mnie zaś marzyło się naówczas zbudowanie właśnie uniwersalnej wizji filozoficznych problemów i rozwiązań, gdyż nie pojmowałem jeszcze dziejów filozofii jako szeregu indywidualnych koncepcji w zasadzie niewpisywalnych w jakiś aprioryczny kwestionariusz.

Prymitywnie naówczas postawiona alternatywa pomiędzy poznawaniem poglądów a poznawaniem prawd czy „rzeczy” miała później wielokrotnie powracać w mej biografii. Alternatywa taka była, jak mi się zdaje, warunkowana w wiele lat później przez cały tok czynności Pracowni Poetyki Historycznej IBL, która stała się w latach sześćdziesiątych miejscem mego zatrudnienia. Wobec braku bowiem ustalonych z góry dyrektyw dotyczących naszych działań, możliwy tam był zawsze wybór pomiędzy koncentracją nad konkretnym zagadnieniem rozwiązywanym określoną metodą a zdobywaniem orientacji w szerokim spektrum aktualnych zagadnień, kluczowych pojęć czy wyłaniających się kierunków badawczych. Po latach wydaje mi się — choć nie byłbym w stanie podać argumentów statystycznych — że w różnorodnych poczynaniach owej pracowni więcej poświęcano uwagi nadążaniu za pojawiającymi się koncepcjami literaturoznawstwa niż wysiłkom, które przyniosłyby monograficzne ujęcia pewnych historycznie obecnych w dziejach literatury polskiej konwencji literackich. Sytuacja taka prowadziła często do znacznej zmienności zainteresowań naukowca (w stopniu chyba niemożliwym w naukach ścisłych), do rozbicia jego biografii na nie powiązane ze sobą fazy, do utrudnienia koncentracji na wybranych i osobiście bliskich zagadnieniach. Moje własne próby badawcze, podejmowane w takim kontekście, były, zwłaszcza w latach sześćdziesiątych, wyraźnie wielotematyczne i miały charakter, jeśli tak można powiedzieć, metanaukowy.

Tak więc fascynacja modnymi naówczas badaniami nad czasowością w literaturze, a nieco później tzw. narratologia, przyniosły prace o konstrukcji czasu w formach narracyjnych i o badaniach układów fabularnych. Niemalym bodźcem do zajmowania się tymi sprawami była, jak sądzę, nie tylko ich istotność, ale również intrygujące bogactwo, złożoność i niespójność poświęconej im w pracach zagranicznych refleksji naukowej. Prace teoretyczne dotyczące form epickich koncentrujące się ongiś na nieśmiertelnym problemie „epos a powieść”, nieliczne stosunkowo na Zachodzie jeszcze w latach pięćdziesiątych, weszły bowiem w okresie, o którym tu mówię, w stadium wyraźnej eskalacji i komplikacji.

Wydaje się wszakże, że zwłaszcza w pracy na temat czasu epickiego intencja pedantycznego uwzględnienia i zsyntetyzowania istniejących analiz odbiła się niekorzystnie na wysiłkach w kierunku budowy własnych moich koncepcji. Co prawda, kiedy dziś po latach problematyka czasu w literaturze znów odżywa pod piórem Paula Ricoeura, okazuje się, że przy ogromnej erudycji i talencie syntetyka, praca referująca i sumująca przynieść może imponujące wyniki. W moim przypadku wszakże, skutkiem podejmowania prac informacyjnych i metanaukowych stał się w dużej mierze fakt, iż — poza pracą doktorską — nie opublikowałem książki monotematycznej, dając się stale ponosić różnym zainteresowaniom i powodować różnymi okolicznościami zewnętrznymi. Zresztą — to refleksja autokonsolacyjna — czy w naszej dyscyplinie chodzi przede wszystkim o pisanie monografii? I o powinność wypełnienia planów mających zbudować jakąś całość?

Traktując ostatnie uwagi jako antycypację dalszych ciągów mej biografii, wrócić chcę do chronologicznego toku narracji. Stosując się zatem do linii czasu, nadmienić pragnę, że mimo mych młodzieńczych zastrzeżeń wobec szkoły filozoficznej, z której wyszedłem, macierzystym układem myślowym dla mego stylu naukowego była przez czas długi Ingardenowska fenomenologia. Wiele nauczyło mnie np. długotrwałe „wpatrywanie się” w fenomen czasu, uprawiane — jakby ponad filozoficzną tradycją — przez długie godziny odpowiedniego seminarium Ingardena. Powadze takich medytacji towarzyszyły jednak czasem zgoła niepoważne przejawy studenckiej humorystyki. Oto próbka wspólnie zredagowanej w ramach koła filozoficznego (przy znacznym udziale obecnego prof. Andrzeja Póltawskiego) parodii Ingardenowskiego seminarium, dość trafnie podchwytującej styl dydaktycznych zachowań krakowskiego fenomenologa, któremu żartobliwie przydano nazwisko Überpark:

Prof. Überpark: Otwieram 150 posiedzenie seminarium poświęcone zagadnieniom konstytuowania się formalno-strukturalnych aktów fundujących doświadczenie k o t ó w. Jeszcze tu znalazłem w swoich szpargałach pewne dane bibliograficzne. Przez te pierwsze 50 lat filozofowania wypada, proszę Państwa, coś od czasu do czasu przeczytać. A więc: Hedwig Immer–Tiefer: *Beiträge zur Phänomenologie der immanenten Katzen-Wesensschau*, s. 705. Edmund Haarspalter: *Wege zum Erzielen der allgemeinen Verdunkelung der gesunden Immanenzapperzeption der Katzen*, s. 705. A teraz wróćmy do naszej roboty. Jest wprowadzie za wcześniej na rozpoczęcie fundamentalnych analiz, ale wydaje mi się, że posunęliśmy się nieco w naszych wstępnych rozważaniach. Jeżeli chodzi o aspekt epistemologiczny, to wydaje mi się, że byli Państwo skłonni do uznania, że jeżeli łapię kota i liczę mu włoski w ognie lub odzieram go ze skóry, to nie uzyskuję wiedzy docierającej dość głęboko, aby pozwolić na uchwycenie cech dokonywujących formalno-ontologicznej charakteryzacji kota jako k-oo-ta. Otóż...

P. Gzęgźółka (takie imię nadano uczestnikowi seminarium, obecnemu logikowi — prof. Andrzejowi Grzegorzcykowi): Prosiłbym o wyjaśnienie, co znaczy termin „koci ogon”. Określenie to wydaje mi się nad wyraz mętne. Sądzę, że w każdej nauce na początku przyjąć trzeba pewne aksjomaty i terminy pierwotne. Proponuję więc terminy pierwotne: „kot” i „ogon”. a zdanie „kot ma ogon” jako aksjomat. Wówczas wszystko będzie jasne.

Prof. Überpark: Proszę Państwa, strzeżmy się zacierania w sobie intuicji kociego ogona, a schodzenia, jak chciałby p. Gzęgźółka, na słowa „kot” i „ogon”. Proszę Państwa, przypominam sobie właśnie, jak byłem mały — było to 25 marca 1912 roku. Idę ulicą, byłem wtedy w Getyndze, pamiętam doskonale ten fakt, z jakiejś bramy konstytuującej mi się w tej chwili jako pewien luźny schemat wyskakuje kot. Ja go wtedy chwyciłem w jego niepowtarzalnym t u i t e r a z i ta cała mnogość różnorodnie ukonstytuowanych jakości barwnych, dotykowych, węchowych, i jakie tam jeszcze kto chce, została nagle zagęszczona i ujęta jakby jednym sk-oo-kiem wewnętrznym wyjścia z siebie. W takich aktach, nazywam je aktami tutajnymi, proszę Państwa, jeszcze jesteśmy w tym naszym t u, a już jesteśmy w naszym t a m.

Cytat ten to tylko ludyczna dygresja. W jakiś aluzyjny sposób sygnalizuje on jednak fakt, że moje (i nie tylko moje) widzenie fenomenologicznych wtajemniczeń dość wcześniej podważane było niebłahymi wątpliwościami. Dopiero jednak w wiele lat później dałem im wyraz w paru artykułach. Może najwcześniej moją uwagę krytyczną skupiło pytanie o autonomiczność Ingardenowskiej filozofii literatury, stanowiącej dla autora największy tytuł do sławy, a mającej zgodnie z jego oświadczeniem służyć w istocie jedynie za narzędzie ontologiczno-epistemologicznej polemiki z Husserlem. Zasadnicza przy tym dla owej filozofii teoria warstwowa dzieła wydała się — nie mnie jednemu — jedynie nazywaniem w sposób nowy prawd banalnych i raczej zdewaluowanych jako narzędzia analizy literackiej. Zbliżenie do strukturalizmu i semiotyki kazało mi zakwestionować fenomenologiczny, bezpośredni i pozasystemowy

kontakt z dziełem literackim. Co do centralnej zaś dla Ingardenowskich konkretyzacji teorii wypełniania miejsc niedookreślenia, to już wcześniej uznałem ją za relikw pojmowania literatury w sposób tradycyjnie mimesyczny. Dopiero jednak inspiracja hermeneutyki pozwoliła mi przyjąć, że słabością fenomenologicznego poznawania jest nie tyle jego pozasystemowość, ile absolutyzacja poznającego podmiotu, czyli „oczyszczenie” go z wszelkich cech, co sprawia, iż estetyczne konkretyzacje nie mogą być w istocie traktowane jako produkty recepcyjnego dialogu. W praktyce zresztą opisywane one były przede wszystkim jako wypełnienia niedookreśloności. Ostatecznie jednak, by zastosować tu znaną metaforę, „ukąszenie hermeneutyczne”, pochodzące ze spóźnionej lektury Gadamera, stało się czynnikiem skłaniającym mnie do zanegowania Ingardenowskiego poglądu o „oddawaniu sprawiedliwości” wartościom estetycznym docierającym do nas bez naszego podmiotowego i czynnego udziału i bez czegokolwiek, co byśmy już zastali jako podstawę czy założenie naszej recepcji. Na tym tle cała estetyka krakowskiego mistrza ukazała mi się — wbrew jego zapewnieniom — po prostu jako zmodyfikowana kontynuacja ciągnącej się od Kanta teorii czystej autonomicznej sztuki. O ile wszakże uważałem, że sprawie ukrytych realistycznych założeń Ingardena, a także konfrontacjom jego filozofii literatury z założeniami semiologii jestem w stanie dać wyraz w publikacjach, to rozwijanie paraleli fenomenologia — hermeneutyka, sprawy szeroko omawianej, należy zostawić autentycznym filozofom, a zreferowany tu rozrachunek zachować w archiwum prywatnego myślenia.

Fenomenologia była ahistoryczna, i to w trzech przynajmniej znaczeniach: nie interesowała się historyczną specyficznością ujmowanych poznawczo bytów, dostrzeganych jedynie w ich pozaczasowym nacechowaniu; pozostawiała daleko poza zasięgiem swej penetracji jakiegokolwiek historyczno-przyczynowe uwarunkowania; ignorowała historyczność Ja poznającego. Na tym tle metodologia marksistowska, z którą przyszło mi się zetknąć około r. 1947, stanowiła wyraźny szok: była na wskroś historycystyczna. Z tym jednak, że historycyzm jej — agresywny i totalny — koncentrował się na jednym: na socjologiczno-ekonomicznych operacjach wyjaśniających, pomijając i negując w swych zasadniczych formach rozumienie historii w sensie Diltheyowsko-idealistycznym, a lekceważąc historyczną relatywizację związaną z usytuowaniem i metodami instancji badającej dzieje. Stąd marksistowski brak zainteresowania konstrukcją faktu czy procesu historycznego, jaskrawo od-

dzielający ową metodologię od dwudziestowiecznych form myślenia naukowego.

W tym miejscu powiedzieć chyba warto, że pierwsze moje zetknięcie z ową metodologią miało charakter dramatyczny, choć nie pozbawiony pewnych komicznych akcentów. Oto na jeden z pierwszych zjazdów kół polonistycznych (r. 1947) przybyła do Krakowa dość agresywnie nastawiona ekspedycja rezydujących wówczas w Łodzi bojowników metody zwanej wtedy eufemistycznie — socjologiczną. Była ona świetnie przygotowana do zaatakowania nas krakowian, reprezentujących bądź tradycyjną filologię, bądź „niebezpieczne” wpływy formalizmu. W tej sytuacji mnie, jako autorowi referatu o wczesnej nowelistyce Prusa, przypisany został adwersarz z góry przygotowany na pogniębienie mych wywodów. Dziś szczególnie znamienita, ale i zabawna, wydaje mi się dyskusja, w której prof. Ingarden bardzo serio bronił swej głęboko przemyślanej i nader osobistej teorii *quasi*-sądów przeciwko młodym oponentom reprezentującym przecież nie tyle osobiste przemyślenia, co zaszczerpione im doktryny.

Opór „konserwatywnego” środowiska studenckiego wobec inwazji metody odslaniającej stopniowo swój marksistowski charakter, był początkowo wyraźny, stopniowo jednak, w miarę postępującej indoktrynacji, ulegał erozji. Na tym tle powiedzieć mogę, iż obowiązek wpisywania się w związek z ideologią marksistowską, wąsko rozumiany historyzm, a także we wszędzie przenikającą problematykę realizmu (również romantycznego, co było szczególnie paradoksalne), zaciążył nad moimi naukowymi poczynaniami podejmowanymi od 1951 r. już w Instytucie Badań Literackich. Ponieważ jednak przeszedłem uprzednio fenomenologiczną szkołę antyhistoryzmu, byłem do historyzujących interpretacji z góry uprzedzony i ulegając konieczności ich uprawiania, nie zadawałem sobie trudu przewycięzania ich wąskości i ograniczeń. Pracując tedy w latach pięćdziesiątych nad rozprawą doktorską, nie usiłowałem ani „rozumiejąco” rozszyfrowywać jej tematu, ani liczyć się w specjalnej refleksji z mym własnym horyzontem i aparatem poznawczym. Zakres (w sensie historycznym) tej rozprawy pozostawać musiał w ścisłym związku z funkcjonowaniem IBL-u we wczesnych latach pięćdziesiątych. Dlatego moje ówczesne zainteresowania powieścią pozytywistyczną i Prusem były hamowane wyraźnym wtedy odwróceniem się ogólnej polityki ideologicznej od pozytywizmu — jako synonimu wzgardzonej pracy organicznej. Nastawała moda na romantyzm,

rozumiany oczywiście jako literacki równoważnik różnych przejawów rewolucjonizmu. Znalazłem się tedy w Pracowni Romantyzmu, po czym kwestią zasadniczą stał się szczegółowy wybór przedmiotu mojej pracy. Mój „nietaktowny” zamiar zainteresowania się gawędą szlachecką nie zyskał aprobaty ze względów „klasowych”. Pomysł zaś skupienia się nad pewnym typem prozy zwanej „frenetyczną”, uprawianej np. przez Dominika Magnuszewskiego, został zdyskwalifikowany jako nazbyt „formalistyczny”. Skończyło się więc na monograficznym ujęciu twórczości pisarza nie odbiegającego w swej stylistyce i tematyce od normy dziewiętnastowiecznej prozy realistycznej i nie rażącego „gustu” lat pięćdziesiątych. Za sukces swój uznać mogę to tylko, że z jednej strony nie dałem się zwieść podszeptom tradycjonalistów doradzających mi dociekanie „jak autor rozumiał swe własne dzieło”, z drugiej zaś — sugestiom generalnej ekonomizacji. Było to osiągnięciem w tym większym stopniu, że bohater mej pracy (Fryderyk Skarbek), będąc z zawodu ekonomistą, łączył swe literackie zatrudnienia z profesjonalnymi i pisywał np. o cenach zboża w Królestwie. Co do mnie jednak — to uchyliłem się zdecydowanie od analizowania wpływu owych cen na jego twórczość powieściową. Szczęśliwie też udało mi się nigdy nie napomknąć o „powieści jako mieszczańskiej epopei”, co byłoby wówczas najbardziej na miejscu, a operując pojęciem realizmu — posługiwać się nim w sposób odmienny i szerszy niż ten, który proponowały natarczywe i długo utrzymujące się polityczne sugestie. Osobnej pracy o realizmie nigdy — chyba przez przekorę — nie napisałem, okazjonalnie jednak określałem zjawisko realizmu jako relatywne wobec akceptowanego zespołu zdań — w szczególności tez epistemologicznych.

Pisząc tu o pomyślnym finale pracy nad mą rozprawą doktorską antycypuję szereg faktów. Droga do tego finału była bowiem nader kłopotliwa, a kłopoty te w dużej mierze związane były z doktrynalnymi wymogami obejmującymi we wczesnych latach pięćdziesiątych dużą część pracowników IBL. Sednem sprawy był postulat wypracowania sobie i zastosowania takiego pojęcia realizmu w literaturze, które odpowiadałoby przyjętem przez oficjalną filozofię sposobom ujmowania historii czy „świata”. Zastosowanie tak relatywizującego i swobodnego rozumienia tego pojęcia, jak wzmiankowane wyżej, było w tym okresie niedopuszczalne.

Aby skuteczniej przeszkolić w zakresie marksistowskiej metodologii adeptów nauk humanistycznych, organizowano w tym okresie starannie

przygotowywane „kursokonferencje”. Jedna z nich, przeprowadzona zimą 1954, skupiła w Zakopanem duże grono starszych i młodych historyków i literaturoznawców (w tym wiele osób mających się dobrze zapisać w lepszych dla nauki polskiej czasach), by wspólnie rozważyć „problem kształtowania się polskiego narodu burżuazyjnego”. Ten wyssany z „klasyków” problem nie był dla mnie łatwy do zaakceptowania, a tym bardziej do „zgryzienia”, toteż mimo zamiłowania do dyskusji, nie zaznaczyłem się niczym w toku obszernych debat. Toczyły się one wszakże dość żywo, ale co do mnie, to do głównych wrażeń, jakie zapamiętałem z owej „kursokonferencji”, zaliczyć muszę dwa. Jednym było żalodne poczucie niemożności opuszczenia sali obrad celem udania się w rozświetlony i śnieżny świat okolic Zakopanego. Drugim — satysfakcja, jaką mi sprawił zorganizowany wspólnymi siłami wieczór humoru, który rozładowywał ponurą i nieautentyczną atmosferę sesji, odsłaniając podskórny nurt ironii towarzyszącej oficjalnym dyskusjom. Szczególnie udana i dowcipna wydawała mi się seria fikcyjnych tytułów prac uczestników sesji, takich jak: *Wokół arki Noego, czyli co ocalało z „Potopu”* — Samuela Sandlera, *Słowacki i ja. Studium historyczno-porównawcze* — Kazimierza Wyki, *Dziarskość Stefana Żółkiewskiego na tle kształtowania się polskiego charakteru narodowego* — Romana Zimanda. Paralelną serię tworzyły tytuły dedykowane wszystkim kursantom (*Droga przez mękę, Ludzie we mgle, Nie-próżnujące próżnowanie*) lub niektórym szczególnie gorliwym marksistom (*Czerwone i marne*).

Na tle tych uczonych igraszek tym wyraźniej odczuwało się groźną aurę indoktrynacji i intelektualnego przymusu. W moim przypadku owo zagrożenie rychło przybrało kształty realne, niedługo bowiem po zakończonej sesji, na gruncie przesłanek dotyczących prawdopodobnie mej politycznej „niedojrzałości”, przeniesiony zostałem na Uniwersytet Poznański. Jakkolwiek przeniesienie owo odczuwałem naówczas jako formę represji, praca w Uniwersytecie Poznańskim przyniosła mi niemało korzyści. Przyszło mi bowiem zstąpić z obszaru ryzykownych i często szkodliwych syntez rozwijanych w tych latach w IBL-u na konkretny grunt tradycyjnej filologii, prozaicznej, ale fundamentalnej sztuki edytorskiej, a także — co istotne — pracy dydaktycznej. Atmosfera zresztą uległa po r. 1956 wiadomym przekształceniom i uwolniwszy się od nacisku mogłem w Poznaniu pod (dość formalną zresztą) opieką prof. Zygmunta Szweykowskiego wykończyć swą pracę doktorską.

Tymczasem jednak zmieniał się też styl pracy IBL-u i życzeniem moim

stał się powrót do tego zawsze przecież żywotnego ośrodka. W r. 1962 życzenie to, dzięki pomocy przyjaznych mi ludzi, zostało spełnione i oto znalazłem się znów w Warszawie. Miejszem mego zatrudnienia nie była już jednak tym razem Pracownia Romantyzmu, lecz znacznie bardziej odpowiadający moim zainteresowaniom zespół zajmujący się poetyką historyczną. W zmienionych warunkach przestałem — jak mi się zdaje — traktować zbyt poważnie ten epizod mej drogi naukowej, w którym w klimacie tradycyjnego historyzmu pracowałem nad rozprawą doktorską. W mym ówczesnym odczuciu wtedy właśnie — mimo że dobiegłem już czterdziestki — zaczynało się moje naukowe serio. Owa postawa serio kojarzyła się dla mnie wtedy z możliwością ujmowania literatury w sposób synchroniczny, czyli myślenia, które uważałem w tym czasie za drogę wolności od napięć występujących u mnie na tle przymusu pisania monografii historycznej, ciężącego na mnie jako spuścizna po marksizmie do chwili ukończenia rozprawy doktorskiej. Ów styl myślenia podsuwał mi młody naówczas polski strukturalizm, żywo rozwijający się po wizytach Romana Jakobsona w naszym kraju i przejawiający się m. in. w organizowaniu serii znakomitych corocznych sesji teoretycznoliterackich. Opatrywanie strukturalizmu etykietą „ahistoryczności” było oczywiście błędne, ale operacja taka wypreparowywała najbardziej rdzenną część strukturalistycznego myślenia, tę część zarazem, która mnie w tym czasie autentycznie fascynowała. Strukturalizm był przy tym dla mnie atrakcyjny dzięki swej „ścisłości” i bliskości wobec stanowiących pewien wzorzec metod lingwistycznych. Moje zaangażowanie w tym kierunku badań nie było zresztą (co odnosiło się także do całego IBL-owskiego zespołu interesującego się poetyką) ani narzucone instytucjonalnie, ani podporządkowane jakiejś wyraźnie sformułowanej i precyzyjnej definicji strukturalizmu. Działo się tak, jak sądzę, z tego też względu, że w naszym kręgu funkcjonowały w sposób wymienny i słabo wyodrębniony co najmniej dwie wersje strukturalizmu: językoznawcza, legitymująca się dużą tradycją i bliska stylowi myślenia szkoły tartuskiej, oraz druga — wiązana z Rolandem Barthesem i środowiskiem paryskim, którego prace już przed r. 1970 stały się u nas nie rozszyfrowanym nieraz do końca obiektem zainteresowań, nazbyt często egzaltowanych i bezkrytycznych. Dyrektywy zatem strukturalizmu, pod których wpływem się znajdowałem, nie nosiły cech represywności. Mimo to kształtowały jakąś metodologiczną intuicję, która kazała mi powracać raz po raz szczególnie do dwóch charakterystycznych zabiegów: do budowania „matryc” przez

krzyżowanie paru opozycji oraz do opisywania jakiegoś uniwersum zjawisk drogą ustalenia jego modelowego centrum i określania całej reszty jego zawartości jako różnorodnych odchyień czy dewiacji względem skonstruowanego modelu. Pierwszą metodę obrałem rozpatrując np. strukturę komunikacyjną utworów epickich według typów relacji zachodzących między wiedzą i orientacją społeczną literackiego nadawcy oraz jego wirtualnego odbiorcy. Podobnym zabiegiem było traktowanie (w pracy o powieści historycznej) gatunków czy odmian literackich jako różnych „języków” mieszczących się w ogólnym schemacie literackości i dających dostęp do świata literatury. Drugą metodą posłużyłem się przy opisie różnorodnych przejawów krytyki literackiej jako rozsianych wokół idealnego centrum, a także przy paradoksalnym charakteryzowaniu nowszych powieści przez określanie jej gatunków w relacji do negatywnego, amorficznego centrum.

Dodać może wypada, że w swym pisaniu nie zawsze wolny byłem od takich przywar intelektualistów, jak dążenie (nieraz dużym kosztem) do heglowskiej niemal symetrii i systemowości, jak zatracające o scjentyzm dawanie przewagi zabiegom metodologicznym nad ich rezultatami, jak wreszcie unikanie „nadmiernej” prostoty. Przyjaciele i koledzy z pewną ironią reagowali czasem na moje zauroczenie strukturalizmem. W ramach żartobliwej admonicji otrzymałem np. w r. 1970 takie oto koleżeńskie życzenia od Mirosławy Puchalskiej: „posyłam Ci serdeczne w treści, a zarazem strukturalistyczne w formie życzenia imieninowe. W ten sposób oddaję Ci cześć jako protagoniście–nowatorowi, ale równocześnie usiłuję ocalić Cię jako człowieka”.

Nie bez powodu też, choć w latach trochę późniejszych od apogeum strukturalizmu, i nie pod moim adresem, Henryk Markiewicz stworzył taką oto parodystyczną interpretację Mickiewiczowskich *Przyjaciół*:

Leszek bez trudu wspina się na drzewo, Mieszek leżący na ziemi zdaje się być skazany na zagładę. Przeciwwstawienie ich wymodelowane jest przestrzennie: wertykalnym ruchem w górę Leszka i horyzontalną nieruchomością Mieszka. Mamy tu więc takie opozycyjne szeregi pojęciowe: pion — natura — ruch i poziom — kultura — nieruchomość. [H. Markiewicz *Twórcza zdrada „Przyjaciół” Mickiewicza*, „Teksty” 1981 nr 6, s. 194].

Prace „strukturalistycznie” pomyślane pisywałem w różnych czasach od połowy lat sześćdziesiątych, dostrzegając w ich metodzie — w sposób uproszczony tu scharakteryzowanej — drogę zdobywania elementarnej orientacji na różnych obszarach. Z czasem jednak czynności opisywanego typu traktować zacząłem z coraz większą rezerwą jako operacje

wymagające jakiejś relatywizacji lub ujęcia w ramę poznawczą, modyfikującą ich walor. Przesłanki dla takich relatywizacji badań „obiektywnych” wystąpiły u mnie dość wcześnie, choć nie zdawałem sobie wtedy sprawy z ich znaczenia. W r. 1966 recenzując poważną książkę teoretycznoliteracką, pisałem na temat całości zawartych w niej wywodów: „jeśli mowa o sferze świadomości literackiej (...) należy sądzić, że poczynania naukowe pracy traktowane być muszą jako umieszczone (...) poza czy ponad tą sferą”. Wyprowadzałem stąd wniosek, że „występujące w książce zespoły twierdzeń (...) nie chcą być traktowane jako nawarstwione elementy tradycji, lecz oceniane wyłącznie merytorycznie” („Pamiętnik Literacki” 1966 z. 3, s. 343). Zaplecze takiej opinii stanowiło niewątpliwie przekonanie, że autor pracy nie liczy się z faktem, iż wypowiadający sądy o pewnej sferze świadomościowej nader często się w nią włącza, będąc zarówno określonym z góry podmiotem swych mniemań, jak i uczestnikiem tej sfery. Uważałem, że wszelkie „posunięcia” dokonywane przez autora takich sądów są zarówno czynnościami uwarunkowanymi przedmiotowo, jak i próbami naruszenia pewnego stanu rzeczy. Nie atakowałem wprost merytoryzmu omawianych wypowiedzi, ale postawę czysto merytoryczną, pozapodmiotową uważałem za niewłaściwą czy niemożliwą w rozważaniach nad świadomością literacką. Znajdowałem się tu, jak dzisiaj mi się zdaje, na pograniczu hermeneutycznego rozróżnienia: z jednej strony — nauki uprzedmiotowiającej, izolującej obszar mentalny badacza od jego przedmiotu, z drugiej strony — interpretacji dokonywującej fuzji obu obszarów. Wszystko to nie było jednak jasno sformułowane, zważywszy że w okresie tym trudno było mówić o wyraźnych wpływach hermeneutyki u nas, ani tym bardziej o moich lekturach z tej dziedziny.

Wątpliwości, jakie wzbudziła we mnie omawiana książka sprawiły, iż jednocześnie zakwestionowaniu ulegała bliska mi od dawna tendencja do zewnętrznego, referującego ujmowania zjawisk świadomości literackiej, usuwająca często na dalszy plan bezpośrednie i nacechowane indywidualnie zainteresowanie nielicznymi, ale starannie wybranymi problemami. Dziś sądzę też, że moja ówczesna krytyka pracy zbudowanej zapewne na podłożu pozytywistycznym stanowi zarazem sygnał zastrzeżeń wobec wszelkich obiektywistycznych badań literackich, nie określających własnych uzależnień i zmierzających do ich transcendowania. Nie podobna jednak ukrywać, że taka świadomość krytyczna nie dotyczyła mimo wszystko mnie samego, mej praktyki badawczej,

opartej o zasady strukturalizmu, skoro równolegle kontynuowałem ją bez zastrzeżeń. Niemniej, gdy w niewiele lat po omawianej recenzji stanęło przede mną zagadnienie odniesienia do siebie trzech typów tekstów: literackich, historycznych i stanowiących tzw. źródła historyczne, próbowałem zaproponować pomysły akceptujące właśnie relatywność różnego typu wypowiedzi. Istotą tych rozważań było aspektowe, tj. niesubstancjalne ujęcie tekstów i przypisanie im charakteru relatywnego — widocznego w historycznych transformacjach, jakim mogą ulegać. Przeciwstawiając teksty o charakterze historycznym — tekstom noszącym cechy bądź wypowiedzi literackich, bądź źródeł historycznych, myślałem z jednej strony o obszarze komunikatów podporządkowanych prawom wypowiedzi naukowych, z drugiej — o obszarze wypowiedzi podległych prawom przedmiotów interpretacji. Uznanie tekstu za wprowadzony w krąg interpretacji uzależnione przy tym było od warunków związanych z interpretatorem. Łącząca się z tymi rozważaniami problematyka poznania historycznego interesowała mnie przez szereg lat, co skłoniło mnie w końcu do naszkicowania poetyki powieści historycznej.

Streszczam tu swoje myśli zainicjowane około r. 1975 dlatego głównie, aby wskazać na trudność właściwego określenia teoretycznego miejsca moich pomysłów i nadania im odpowiedniego kształtu w sytuacji, gdy napływały do nas nader różne idee teoretyczne, ale orientacja całościowa w ich obrazie nie była łatwa — zwłaszcza gdy po informacje z dziedzin nie najbliższych filologowi sięgało się do wątpliwych podręczników metodologii historii czy wprowadzeń do semantyki. Wydaje mi się dziś niemal pewne, iż gdybym w okresie pisania omawianej rozprawy znalazł koncepcje hermeneutyki, nie tylko na podstawie przypadkowych przekładów, a także, gdybym posługiwał się pojęciem intertekstualności, sformułowałbym swe idee sprawniej i wprowadziłbym je we właściwe odniesienia. Że tak się nie stało, stanowiło oczywiście moją winę, ale źródłem jej była ogólna atmosfera związana z modą naukową. Na orientację, jaka byłaby tu pożądana, przyszła pora dopiero w kilka lat później.

Od kilku lat natomiast, tj. już przed r. 1970, sprawą centralną w polskiej refleksji teoretycznoliterackiej stała się nie sama interpretacja literatury, lecz różnie rozumiana i nazywana komunikacja literacka. Agresywność i zaborczość tej problematyki była wtedy ogromna, a proteuszowa jej wielokształtność zacierała wspólne rysy różnych jej ujęć. Sprawa komunikacji literackiej tkwiła w istocie już w Ingardenowskim pojęciu konkretyzacji, o czym, rzecz dziwna, wówczas nie myślałem, nie w tym

bowiem sensie mówiono wówczas na ten temat, lecz zazwyczaj w rozumieniu najbliższym podstawowej tradycji semiotyki strukturalnej, tj. jako relacji kodu nadawcy i kodu odbiorcy. Mówiąc nawiasem, jedynie przyjęcie takiej (a nie Peirce'owskiej) semiotyki jako bazy porozumienia, pozwala na precyzyjne mówienie o komunikacji literackiej. Nieco inny aspekt sprawy ujmowała rozumiana immanentnie socjologia literatury — kreująca pojęcie wirtualnego odbiorcy i inne byty właściwe wewnętrznej sytuacji literackiej. Inny jeszcze — rozwijała socjologia samej lektury. Natrętność „komunikacyjnego” ujmowania literatury i uparte stosowanie pewnej terminologii w sposób oczywisty stało się pobudką do powstawania tekstów parodiujących tę metodologię. Oto dwa przykłady związane z jedną z teoretycznoliterackich konferencji (r. 1980):

C. K. Norwid [Stanisław Balbus]

Do *** J. L.

Daj mi tę wstążkę błękitną —
Oddam ci ją — bez retardacji,
Bom jej odbiorcą wirtualnym tylko —
bez dania racji

Albo mi lepiej tej wstążki nie dawaj!
Sam sobie z-daj sprawę łaskawco,
że nie przystoi ci nawet zostawać
błękitnej wstążki nadawcą

Q. Horatius Flaccus [Włodzimierz Bolecki]

Exegi monumentum...

Nie wszystek umrę, o nie! Bo przecie
Mój podmiot przetrwa na tym świecie
I zaplątany w sieć relacji
Wewnątrztekstowej komunikacji,
w wirtualnego wpatrzony odbiorcę
Będzie antyczne głosił wzorce,
Pełen nadziei, że może zachęci
Do głosu znawcę na konferencji.

W pewnym momencie szczególnie intensywne okazało się u nas oddziaływanie niemieckiej estetyki recepcji z Mannheimowsko-Jaussowską teorią horyzontów. Rodowód hermeneutyczny tej ostatniej słabo, jak mi się zdaje, był w Polsce dostrzegany, praca bowiem Jaussa *Historia literatury jako wyzwanie rzucone nauce o literaturze* ukazała się w (częściowym)

polskim przekładzie, zanim jeszcze doszło do popularyzacji tej hermeneutyki — traktowanej często po prostu jako umiejętność interpretacji indywidualnych dzieł. Bardzo mała też była wtedy w Polsce znajomość odradzającej się na Zachodzie retoryki, którą również można przecież uważać za formę literackiej pragmatyki czy teorii komunikacji.

Mój udział w tym jakże złożonym ruchu teoretycznym sprowadzał się, obok czysto sprawozdawczej relacji (dla cudzoziemców) o problematyce odbioru literackiego w Polsce, do odczytów o retoryce, których jako działań popularyzatorskich nie publikowałem, i wreszcie do wymienionego już artykułu o komunikacji w utworach narracyjnych, bazującego na swoście rozumianej socjologii literatury. Wracając jednak po latach do tych dawnych spraw, zmierzam przede wszystkim do określenia mej postawy, jaką chciałem naówczas zająć wobec istotnej alternatywy. Ujęcia bowiem komunikacji literackiej wpisujące się w rodowód strukturalistyczny akcentowały relacje kodów czy konwencji (a więc tworów systemowych), którymi mieli dysponować immanentni nadawcy i odbiorcy tekstów literackich, traktowanie natomiast owej komunikacji jako fuzji horyzontów podkreślało wzajemny wpływ i dwustronną modyfikację tworów procesualnie zmiennych i wzajemnie się dostrajających. Te dwa stanowiska próbowałem zintegrować w mej pracy w mniemaniu, że reprezentują one podstawowe wersje tej samej kwestii mieszczącej się w obrębie pragmatycznego aspektu literatury. Trzeba jednak przyznać, że jeszcze i wtedy (a był to r. 1985) nie wchodziłem w bezpośredni kontakt z hermeneutyką, pozbawiając tym samym moje wywody istotnego zaplecza teoretycznego. Trudno bowiem pominąć fakt, że na jakości tej rozprawy zawążyła niekorzystnie okoliczność, iż opierając się na Jaussovskiej teorii horyzontów, nie podkreśliłem wtedy wyraźnie pokrewieństwa, jakie zachodzi między tą teorią a zasadami hermeneutyki, a także — dynamiczną, „trójpolową” semiotyką Peirce’a, pozostając stale pod wpływem semiotyki systemowo-relacyjnej. Semiotyka dynamiczna czy aktywistyczna zainteresowała mnie naprawdę dopiero później, po zetknięciu się bliższym z poststrukturalizmem i nowymi prądami w językoznawstwie negującymi „obiektywizm” lingwistyczny.

Ogólnie biorąc, moje kontakty z hermeneutyką rozwijały się powoli i z oporami, jakkolwiek stopniowe przemijanie ery strukturalizmu sygnalizowane było w latach siedemdziesiątych choćby na łamach „Tekstów”. Zjawisko to chciałbym zilustrować na przykładzie referatu wygłoszonego w r. 1986 w Toruniu na konferencji poświęconej badaniu

fabuł i nie opublikowanego w odpowiedniej księdze w związku z wątpliwościami charakterystycznymi dla mojej teoretycznej sytuacji. W zaprezentowanej w mym referacie propozycji dotyczącej analizy prostych fabuł posługiwałem się zarówno pojęciem zdarzeń fabularnych, jak i pojęciem ról narracyjnych. Istotą jednak mych rozważań było sytuowanie zdarzenia fabularnego w „ramie probabilistycznej” oraz traktowanie całości opowiadania w sposób pragmatyczny i procesualny, tj. ujmowanie go jako serii „zagrań” i potencjalnych „przeciwzagrań” odbiorcy. Analizie takiej poddawać można dowolne opowieści baśniowe, uznałem więc za właściwe uczynić przedmiotem takich rozważań biblijny mit Izaaka. Rezultaty wydawały się zachęcające, bo biblijna opowieść złożona z informacji krótkich i występujących w określonej formie językowej — a nie wywiedzionych z różnorodnych wersji, jak w baśni — dała się łatwo segmentować i niejako inkrustować kolejnymi odbiorczymi „przeciwzagraniem”. Interesujące było przy tym rozpatrywanie poszczególnych faz opowieści z uwagi na ich „ramę probabilistyczną”.

Mimo tych wszystkich okoliczności krytyczne spojrzenie na naszkicowany proceder badawczy pozwala skonstatować, że wszelkie odbiorcze „przeciwzagrania” typu np. czytelniczej opinii, że „Jahwe domaga się czynu sprzecznego z ogólnoludzkim poczuciem moralnym” oraz wszelkie sądy na temat prawdopodobieństwa różnych członów akcji badanej opowieści biblijnej osadzone są w historycznym Teraz interpretatora. Że zatem zmierzać należy bądź to do „rozumienia” mitu Izaaka w sensie (nader problematycznej) historycznej rekonstrukcji, bądź też usiłować „wzbogacić się” treścią tego mitu przez dokonanie hermeneutycznej fuzji dwu horyzontów. Stało się więc jasne, że analiza strukturalistyczna, która zastosowana np. do opracowania baśni o Kopciuszku mogła — lekceważąc rozszyfrowywanie jej semantyki — okazać się w pewnym sensie jałowa, ale nieszkodliwa, w przypadku mitu o bogatych treściach moralno-historycznych stanowić mogła jedynie zabieg pomocniczy, omijający istotny cel interpretacji. Taka opinia, w stylu Ricoeurowskiej teorii interpretacji, zniechęciła mnie, generalnie biorąc, do tego kierunku badań strukturalistycznych, który wciąż owocuje tak często spotykany mi, np. na łamach pism „Poetics” czy „Lili”, pracami z zakresu narratologii generatywnej. Skłoniło mnie to do rezygnacji z ogłoszenia szkicu i do podjęcia ponownych przemyśleń poruszanych zagadnień.

Ostatecznie, ujęcia hermeneutyczne, zawieszono w stosunku do interpretacji mitu biblijnego, doszły u mnie do głosu tam, gdzie horyzont

interpretatora mógł być odsłonięty bez odwoływania się do arbitralnych domniemań, w oparciu jedynie o oczywistą tradycję. Stało się to w interpretacji *Lalki*, gdzie autor nowej wykładni prezentował się po prostu jako ten, który nie jest czytelnikiem „czystym” i pierwotnym, lecz zna odczytania dawniejsze i jest przez nie określony i ograniczony. Ujęcie takie zostało jakby uogólnione w mojej analizie „lektury wielokrotnej” jednego tekstu. W lekturze takiej historyczna określoność interpretatora zastąpiona została przez jego wielowarstwowość wyznaczoną kolejnymi lekturami. W pracy tej inspiracja hermeneutyczna skrzyżowała się z pewną ideą Ingardena — jedną z nielicznych, które posłużyły mi jako pozytywne wskazania analityczne. Ideą tą była tendencja (wzięta zresztą z Husserlo-wskiej fenomenologii czasu) do opisywania lektury jako narastania elementów, które w każdym momencie przekształca perspektywicznie odczytaną już część dzieła, rodząc nieustannie nowe i same w sobie ważne przekroje utworów. W pracy tej aktualne wszakże pozostały dla mnie obyczaje czy nawyki strukturalistyczne. Tak np. mówiąc o przedstawianiu w literaturze procesów w opozycji do ukazywania „nieprocesów”, uważałem za właściwe przypisać zarówno procesom, jak i „nieprocesom” — możliwość ich procesualnej lub nieprocesualnej prezentacji.

Odnotowany w tych wspomnieniach stan mych intelektualnych konfliktów czy kłopotów mieścił się w ramach dylematów ogólniejszych, sprowadzających się do wątpliwości wobec kwalifikowania tego, co może stanowić czynności filologa jako operacji naukowych. Ponieważ nie chodzi mi tu o merytoryczną argumentację, lecz o odnotowanie osobistych intelektualnych niepokojów, sprawę tę przedstawię w formie paru alternatyw, o których częściowo już była mowa, ale które stanowiły dla mnie powracające lejtmotywy. Podstawowa alternatywa wiąże się ze sporem pomiędzy tradycyjnym i niekoniecznie wpisanym w teorię nauki przeświadczeniem o neutralności roli badacza a wzbudzonymi przez hermeneutów refleksjami nad udziałem własnych uwarunkowań w osiągniętych wynikach. Czyżby więc — pytałem nieraz — wiedząc o tym zjawisku, należało badania te kulturować w imię Ricoeurowskiego ideału stworzenia amalgamatu kulturowego poszerzającego naszą świadomość, czy też raczej zmierzać do „obiektywnej” historycznej rekonstrukcji?

Podjmując zagadnienie naukowej neutralności i podważając jej prawdopodobieństwo, rezygnuje się zarazem z właściwej naukom *sensu stricto* zasady rozwoju linearnego, kumulatywno-eliminacyjnego. I tu pojawia się różnica w zakresie pojęcia tradycji. Traktowanie bowiem tradycji

jako uporządkowanego wyboru elementów kultury nie jest wolne od stylu myślenia właściwego naukom ścisłym i porównywane być może z budowaniem tzw. kontekstu uzasadniania. Inny natomiast sposób myślenia o tradycji (za którym optowałem w referowanych, ale nie ogłoszonych dotychczas wywodach) ujmował ją jako zjawisko synkretyczne, jako zbiór elementów dobieranych według zasad różnych i bynajmniej nie podsumowywanych przez usystematyzowane postulaty. Tak rozumiana tradycja byłaby zjawiskiem porównywalnym z tzw. kontekstem poszukiwania.

Z tendencją do przeciwstawiania się koncepcji linearyzmu w naszej dyscyplinie, w imię rozwoju wielokierunkowego, zasady — jak ją nazwałem pisząc na ten temat w „Tekstach Drugich” — „pączkowania”, wiążą się różnorodne, bliskie mi w ostatnich czasach refleksje „antynaukowe”, zbieżne z procesem erozji badań strukturalistycznych. Chodzi tu częściowo o wątpliwości co do nauki o literaturze wypełniającej zaplanowane z góry zobowiązania, których realizowanie dowodzi zarówno oficjalnego „szacunku” dla przedmiotu badań, jak i swoistej chęci uwolnienia się od niego czy uporania się z nim — w imię zaspokojenia biurokratycznego upodobania do wszelkich uporządkowań. Upodobanie to, bliskie strukturalizmowi — przymierzającemu teksty do ustalonych systemów znakowych, stoi na przeciwnym biegunie wobec intencji do nie kończącego się, niespokojnie aktywnego obcowania z tekstami. Wątpliwości takie dotyczą zatem instytucjonalizacji nauki i przerostu jej środków nad celem naukowych poczynań, które miałyby wykraczać poza jej wewnętrzne reguły i potrzeby. Cóż zatem stanowić by miało ów cel? Jakakolwiek jest tu odpowiedź, a podstawowe kierunki filozofii i metodologii nasuwają ich wiele, to trudno, jak sądzę, za cel naukowej refleksji nad literaturą uważać dziś zdobycie informacji, uniknięcie nieładu i dezorientacji i zapanowanie pojęciowe nad pewną przestrzenią kulturową. Innymi słowy, naukowe „uprzedmiotowienie” pewnej sfery zjawisk. Nie chodzi dziś już zatem ani o sprostanie ścisłości prawdziwych nauk, ani o nadążenie za bogactwem płynących z różnych stron inspiracji. O co zaś chodzi naprawdę? Można by sądzić, że odpowiedzi na to pytanie poszukuję w tekstach Heideggera, bowiem w moich „antynaukowych” animozjach łatwo jest odnaleźć inspiracje *Wstępu do metafizyki* czy *Czasu światobrazu*.

Jest jednak inaczej, przejmując się bowiem Heideggerowskimi negacjami — choć nie wczuwając się w skrajnie antytechnicystyczne stanowisko

Heideggera — nie umiem czy nie próbuję wczuć się w pozytywy jego filozofii. Funkcję twierdzeń, jakie przeciwstawić można ideałom naukowości, pełnią raczej dla mnie w tej chwili niektóre koncepty wywodzące się zapewne z poststrukturalizmu, jakkolwiek kierunkowi temu nie podobna przypisać konsekwentnego układu podstawowych tez. Na miejsce rozgraniczania obszarów odmiennych co do substancji, funkcji i praw rozwoju, a więc z jednej strony terenu tekstów literackich, z drugiej — literaturoznawczej refleksji, której celowość i przydatność budziła moje różnorodne wątpliwości — rad byłbym wyobrazić sobie swoisty świat synkretyczny. Świat, w którym wymienne są role twórców i badaczy, wymienialny status podmiotowości i przedmiotowości, relatywna hierarchia semantyczna tekstu, Uniwersum, w którym nie ma powodów zmierzać do poszukiwania znaczeń i uogólnień, skoro można interesować się jednorazowością, wieloznacznością i bezsensem, a przede wszystkim odnosić się w sposób aktywny do tekstów. Teren, na którym zamiast linearnego rozwoju pojawia się zasada chaotycznej proliferacji, a zachwiane jest pojęcie programu działań, służących mu narzędzi i ich nadrzędnego celu. Świat taki, w którym rządzi nie koncentryczne uporządkowanie, właściwe poczynaniom naukowym, lecz jakby nieustanna dygresyjność — mógłbym nazwać „światem literackości”. Dążeniem zaś wielu partycypujących w nim podmiotów — zarówno twórców, jak i badaczy literatury — byłaby nie tyle realizacja określonych zadań i przyczynianie się do jakiegoś ukierunkowanego rozwoju, ile sama obecność w tym świecie.

Przyjąwszy takie hipotetyczne założenie, zmuszony wszakże jestem zapytać o ewentualne swoje miejsce w kręgu czynności, jakie pociąga za sobą partycypowanie w takim uniwersum. Czyżbym np. zobowiązany był opanować taki język naukowy, w którym pomieściłyby się i były mało rozróżnialne składniki zwane zazwyczaj naukowymi i elementy tzw. literackości? Zapewne są dzisiaj naukowcy władający takim językiem. Dla siebie jednak wybrałbym inne rozwiązanie. Wymagałoby ono wszakże zastanowienia się nad tym choćby, w jaki sposób połączyć właściwości owego uniwersum z Ricoeurowskim, w zasadzie hermeneutycznym, trójfazowym schematem interpretacji — uwzględniającym wstępne, naiwne „domyślanie się”, strukturalistyczne wyjaśnianie i w końcu przejście do semantyki głębokiej, odsłaniającej to, „o czym się mówi”, na tle tego, „co zostało powiedziane”. W całym owym zespole czynności tym, co mógłbym wykonywać, byłoby mimo wszystko, jeśli już

używamy tej terminologii, nie tyle odślanianie tego, „co zostało powiedziane”, ile strukturalistyczne wyjaśnianie tego, „co się mówi” — oczywiście przy całej świadomości hermeneutycznej ramy tych operacji. Być może — i tu czynię małą retrospektywną dygresję — nie bez racji mógłbym zapytać, czy taki stan rzeczy jest w mej naukowej biografii czymś nowym, czy też jakąś kontynuacją. Opowiedziałbym się za tym, że jest to raczej kontynuacja, myślę bowiem, iż powody, dla których przydarzyło mi się poddać bliższej interpretacji jakieś dzieło literackie, bywały dwojakie. Albo niepokoiła mnie jego specyficzna komplikacja, osobliwe bogactwo różnych składników, trudna dostępność. Było tak w przypadku *Rękopisu znalezionego w Saragossie* i *Kosmosu*, a także, co brzmi może paradoksalnie, *Pamiętek Soplisy*. Albo też pobudzały mnie obce sądy interpretacyjne lub oceniające — niesłuszne moim zdaniem wobec takich twórców, jak Żeromski czy Krąpiec. Tak więc moje próby odczytywania konkretnych tekstów płynęły głównie z traktowania ich jako przedmiotów do rozszyfrowywania lub z nastawienia na dotyczące ich opinie, w mniejszym zaś stopniu z fascynacji ich semantyką. Nie znaczy to bynajmniej, że fascynacja taka nie istniała, i że nie miała swego udziału w doborze rozpatrywanych utworów. Należała jednak do zakresu mej prywatności i czynności, jakie wykonywałem występując w mej badawczej roli, nie tej sfery przede wszystkim dotyczyły, a więc nie tego, „co zostało powiedziane”, lecz tego, „co się mówi”. Takie oto określenie mej naukowej roli wydaje mi się dziś aktualne i, nawiązując do terminologii Ricoeura, winienem raczej — w miarę mych możliwości i danego mi czasu — pozostawać przy metodzie, która nie sięga może do semantyki głębokiej i w niewielkim stopniu „poszerza horyzont egzystencji”. Dziedzicząc elementy zaczerpnięte ze strukturalizmu, metoda ta przynosi na miejsce tamtych wartości — może nawet niezależnie od jakości interpretowanych tekstów — satysfakcje takie, jakich doznaje nie tyle *homo philosophicus*, ile człowiek zainteresowany sprawnym stosowaniem pewnych przyswojonych umiejętności. Czyżby więc — po różnych metamorfozach i konfliktach — znów przewaga metody nad przedmiotem, znów odnowa poznawczego minimalizmu?